

# poezja i niepoezja

## Glina

Zbigniew Bienkowski

Ukazała się właśnie wznowiona przez PIW w masowym nakładzie „Ziemia planeta ludzi” Saint-Exupéry’ego. Na ostatnich kartkach tej niewielkiej wielkiej książki francuski pisarz ukazuje glinę opuszczoną przez ducha w przejmującym szczególnie nas, Polaków, obrazie. „Wagonami trzeciej klasy jechały setki robotników polskich, którzy wydalenii z Francji wracali do Polski. Idąc kozytarem musiałem ostrożnie stawić nogi, ażeby nie wejść na śpiących. Zatrzymałem się, żeby im się przyjrzeć. W skąpym świetle niebieskiej żarówki w wagonie bez przedziałów, podobnym do izby zatłoczonej i cuchnącej koszarami czy komisariatem, zobaczyłem tłum bez twarzy, objany i podrzuwany pędem ekspresu. Cały naród rzucony na samo dno sennych koszarów i wracający do nędzy. Wielkie ogolone głowy toczyły się po drewnianych lawkach. Mężczyźni, kobiety, dzieci przewracali się z boku na bok, jak gdyby napastowani przez hałasy, przez wstrząsy, które wdzierają się w ich pólson (...) Niemowle szła matkę tak zmęczoną, że sprawiała wrażenie śpiącej. Życie toczyło się dalej wśród absur-

du i nieładu podróży. Spojrzałem na ojca. Czaszka ciężka i bez jednego włosa, gładka jak kamień. Ciało zgięte w niewygodnym śnie, utężnione w ubraniu roboczym, całe w garbach i zapadlinach. Ten człowiek wyglądał jak kupa gliny (...) Usiadłem naprzeciw jednej pary. Między mężczyzną i kobietą dziecku wesoło się jako tako i spało. Ale odwróciło się nagle we śnie i zobaczyłem jego twarz w nylkim świetle żarówki. Ach! Cóż to była za twarzyczka! Z tej pary narodził się złocisty owoce. Z tych łachmanów zrodziło się arcydzieło piękna i wdzięku. Pochyliłem się nad gładkim czołem, delikatnym zarysem ust i powiedziałem do siebie: oto twarz muzyka, dziecięcy Mozart, piękna zapowiedź życia”. Tymi słowami (oskarżenia i ostrzeżenia) Saint-Exupéry zamyka swoją książkę: „Neka mnie nie widok tych garbów, tych jam, tej brzydoty. Ale w każdym z tych ludzi został Mozart zamordowany. Tylko duch, jeśli technie na glinę, może stworzyć Człowieka”.

Jak uchronić Mozarta, jak ostrzec, by raz technie, nie opuściło gliny człowieczeństwo? Czy

wystarczy pokonać przemoce świata, zlikwidować źródła głodu, nędzy, wyzysku, czy rewolucje rozwiążą wszystkie problemy bycia człowiekiem? Bo przecież ciężar gliny, opór materii jest wartością stałą, nieustępliwym elementem wszystkiego, co istnieje, tak samo w skali kosmosu, jak w najmniejszej komórce bytu. W każdym egzemplarzu tego, co ogarniamy pojęciem ludzkości, trwa od poczęcia, od pierwszego aktu świadomości, walka o prymat między spirytualnym a fizycznym. Być Mozartem, to pokonywać inercję, lenistwo, immobilizm, ciężar właściwy chaosu, oporność gliny — lotnością myśli, głębinowością uczucia, przenikliwością wyobraźni, wszechstronnością wrażliwości, tym wszystkim i czymś więcej jeszcze, zdolnością porażania czułością, trucią słodyczą, nienawidzenia miłością... Dlatego właśnie tak trudno być Mozartem i tylko jeden raz został nim człowiekowi się udało. Ale kierunek jest wyznaczony i droga została przetarta.

Każdy z nas ma szansę ubiegania się o talent zachwyty, cierpienia, miłości. Dla nieprzebiegłych i nieśmiałych istnieją gotowe wzory myślenia i wyobrażenia, matryce do modelowania gliny. Ideologie i religie proponują liczne, do wyboru i do koloru, seryjne modele wartości, na pewno praktyczne i pożyteczne, jeśli przez tyle już tysiącleci funkcjonują. Dla ambit-

nych i suchwałych jest sztuka. To nęcący uroda wolności, lecz niebezpieczny i ryzykowny teren eksperymentowania i igrania z ogniem. Tutaj zmaganie się z oporem materii, z inercją tworzywa, z ciężkością i biernością gliny, osiąga stan nieustającego maksymalnego napięcia. Bo w walce z bezwładem sztuka nie ma sojuszników ani z urzędem, ani z wyboru. Sojusznicy by się nawet znaleźli i chętnie podsunęli idee i dogmaty, zresztą niejednokrotnie podsuwali i jedne, i drugie. Ale to osobna i wcale nie prosta sprawa. Sztuka sama skazuje się na samotność. A samotność, by przetrwać i nie podać się presji egzystencjalnej, sięga po wszystkie dostępne środki, także nielegalne. Czymże jest egzaltacja egocentryzmu, spektakl próżności, który każda sztuka gra przy otwartej kurtynie, jeśli nie narkotykiem? JA artyści, by przełamać wstydlivóść intymności i być absolutnie sobą, odurza się miłością własną. Bo tutaj, i chyba tylko tutaj nakaz Dekalogu kochania samego siebie nie potrzebuje kamuflować się stylistyką eufemizmu i kryć się za plecami miłości bliźniego. Tu miłość samego siebie ma naturalną wartość instrumentalną, będąc zaczepno-odporną bronią do walki z lenistwem uczuć i oportunistycznym myśleniem. Sztuka dała sobie prawo i przywilej próżności. Obszerna jest skala próżności. Inna jest próżność wiersza lirycznego i skrzypcowej sonaty, a inna — aktorskiego gestu. I każda jest jeśli nie legalna, to chwalebna. Jedna tylko próżność budzi i sprzeciw, i niechęć: próżność skromności, pokora rezygnacji.

Jeszcze dziś, a przecież minęło już kilka tygodni od tego spektaklu, nie mogę się otrząs-

nąć z przykrości, jaki sprawiła pani Jadwiga Jankowska-Cieślak swoim monodramem odegranym w „Życiu Literackim”. Na całej kolumnie krakowskiego tygodnika wdzięczy się przed tyżliwie cierpliwa Urszula Bielousz zarażającą au naturel, niakością bez szminki, buzią w ciup, o puszczeniem rąk kopciuszka i sieroty. Na publicznej scenie odgrywa siebie z życia. Robi to bezbłędnie. Akurat mogę to stwierdzić, gdyż znam ją dobrze, nawet bardzo dobrze z widzenia, gdyż przez przeszło dziesięć lat mieszkala w tej samej klatce potężnego bunkra-mrówkowca, a nawet wymieniłem z nią w windzie trzy albo i cztery zdania o pogodzie. Była najmniej efektowną dziewczyną osiedla. Była myśzą, bo nawet nie myśką, a na pewno nie bożą krówką. Nie uwierzyłem własnym oczom, gdy ją ujrzałem na scenie, na ekranie kinowym, w okienku telewizora. Bo to był cud, cud nieprawdopodobieństwa. Ta szarość zabiysła promiennoscia, ta niakość oślniła agresją czułości, ta myśz wydozyła z gliny — nie wiem, własną czy wyuczoną, wrodzoną czy ukradzioną — tajemniczą piękność ludzkiej osobowości. Tylko Teresa Budzisz-Krzyżanowska to samo i tyle samo potrafi. Nawet w rólce trzecioplanowej tylko ona jest obecna na scenie, choćby obok niej rozgrywał się dramat życia i śmierci, miłości i zdrady, od niej nie można oczu oderwać. Jest zawsze, kiedy się zjawi, tą dziewczyneczką z „Nocnego patrolu” Rembrandta, co swoim blaskiem gasi pyzającą urodę wojaków. I ta zjawiskowa postać polskiej sceny i ekranu gra żalostnie siebie z codziennego życia, siebie z osiedla nad Dolinką, wieblądziłą chudziłą objuczoną siatkami z żarciem.

Komu potrzebna taka sztuka i taka rola? Wygwizdać! Plakać się chciało słuchając jej szczybioty, tak, szczybioty, bo nie skarzyła się, nie zawodziła nad losem, odwrotnie. Puszyła się jeszcze swoim brakiem gracji, opuszczeniem i sieroctwem. Grała marne szczęście prywatności. Ten cud polskiej sceny przez osiem lat siedział na tapczanie, uczył się angielskiego (by w oryginalne czytać — pozał się Boże — „dzieła” Marlo Puzo) i dziergał. Przez osiem lat Jankowska-Cieślak, zamiast budzić niezbędny nam zachwyty, uczyla się słówek i karmila zwalistego małzonka. Jak mogła? Jak mogła sobie na taką rezygnację pozwolić. Czekala. Na co? Na kogo? Na propozycje dyrektorów i reżyserów? Przecież wszystkim wszystko wisi, jak powszechnie wiadomo. Jankowska-Cieślak jest winna zaniedbania kardynalnych obowiązków artysty: obrony ducha, walki o prawa swego talentu. Jeśli umiała wybiagać sobie (jak powiada w monodramie) mieszkanie, to umialaby także wybiagać miejsce na scenie. I ten swój cudowny talent objawiania nam ludzkiego ducha oddała do dyspozycji wymogom gliny. Jak mogła dopuścić do takiego marnotrawstwa? Nie ruszając się zbytnio w świecie, byłem pewien, że jest, że działa, że kręca z nią filmy, które zobaczą, że zachwyca tu, tam, w szerokim świecie. A ona po Cannes, po sukcesie nieporównywalnym z żadnym innym polskim aktorskim sukcesem, ech, szkoda słów. I jeszcze się puszy jasnym czołem i próżnością skromności! Nie wiem, jak inni, ale ja jej tego nie wybaczę. Nie wykonała świętego obowiązku artysty, nie walczyła o prawa do miłości siebie. Pozwoliła glinie odegrać się na duchu.